

Janina Łagoda

Międzynarodowe układy wplotły nas w problem napływających do Europy Syryjczyków, ale i innych mieszkańców Bliskiego Wschodu oraz Północnej Afryki. Ów exodus, mimo że chwilowo ma dla nas wymiar werbalny, już poróżnił rodzimych polityków i podzielił społeczeństwo.

Dylematy gościnności

Zderzyły się solidarnościowe, ewangeliczne oraz inne zakłęcia o potrzebie pomagania bliźnim. Na to wszystko nałożyły się narodowo-patriotyczne emisje prawdziwych Polaków, uwielbiających uliczne dyskusje. Wydawałoby się, że kwestia wspierania tych, którzy znaleźli się w potrzebie to oczywistość, a jednak ponad połowa rodaków, jak wykazują sondaże, jest przeciwna przyjmowaniu cudzoziemców, co na ponoć gościnny kraj, stanowi zaskakujący sygnał. Źródła tego zjawiska są wielorakie. Syntetyzując je wskazać należy na rozdźwięk pomiędzy umiejętnością transformowania prawd płynących z nauki o moralności na praktykę codziennych czynów. Zdaje się, że opanowaliśmy tylko jeden element tej niełatwej sztuki: prawienie morałów, pouczanie innych, mnożenie propozycji rozwiązań określonych sytuacji, wyznaczanie chrześcijańskiego kryterium uchodźców itd.

Idea solidarnościowych zawołań, tych pierwotnych z lat 80 w politykę wtopionych i nieco skorygowanych dniem dzisiejszym, niewiele skutkuje. Pozostajemy w objęciach idealistycznych wyobrażeń bez woli ich przełożenia na zwyczajne społeczne czyny, wsparte autentyczną życzliwością uzupełnioną materialnymi szczodrościami. Gorzej, bo przy tej okazji powróciła na polityczną arenę tradycyjna wojna na słowa, z której wyłania się niemal apokaliptyczny obraz zislamizowanej Polski. Głosy rozsądku giną pod lawiną emocji, bo cudzoziemcy w naszym kraju, to odwieczna kumulacja okazywania im niechęci.

Państwo, w wymuszonej opcji, oficjalnie sprzyja Syryjczykom i to brzmi poprawnie, ale natychmiast skaża swoją dobroduszość dyskursem o tzw. kwotach uchodźców, których może przyjąć. Ma to poniekąd naturalne, bo ekonomiczne uzasadnienie, podbudowane troską o narodowe bezpieczeństwo. Natomiast utożsamianie żywych z materialno-finansowym wskaźnikiem, bo taka jest istota definicji kwoty, graniczy z cynizmem. Pojęcie to nie jest naszym wymysłem, lecz brukselskich biurokratów, którzy jak się okazuje, mają problem z rozróżnianiem myślących istot od ich materialnego oprzyrządowania. Kwota zawsze pozostaje sprzężona z buchalterią i oznacza ilość pieniędzy bądź dóbr materialnych. Nigdy nie odnosiła się do żywych. Dlaczego więc tak poddańczo wtłoczyliśmy to pojęcie do naszej nowomowy? Brukselska kwota uchodźców stała się piaskiem rzuconym w tryby współpracy unijnych państw. Inni mają już z tym rzeczywisty problem. My nadal tylko dywagujemy, podgrzewając krajową, ale i europejską polityczną atmosferę. Gwałtowna wędrówka ludów, to dylemat ogromny, bo wyłonił się jak Feniks z popiołów, ale po części z naszym udziałem, o czym zapominać nie wolno.

Wszystko odbywa się w sferze myślowych dywagacji, w które tak się zapętliliśmy, że bezwiednie wbiliśmy klin w stabilność Grupy Wyszehradzkiej. Jest to wprawdzie nieformalne zrzeszenie czterech państw Europy Środkowej (Czechy, Polska, Słowacja i Węgry), ale z zamysłem pogłębiania współpracy między sobą z dochowaniem unijnych pryncypiów.

Najczęściej są to konsultacje w sprawach związanych z problemami generowanymi przynależnością do UE. Naszą niezwykłością naruszyliśmy konstrukcję Grupy, która wprawdzie bardziej przypomina frakcję o nieznacznej mocy sprawczej w obrębie Unii, ale z ładunkiem integracyjnych impulsów. Dlatego też nasze państwo, dla porządku rzeczy winno wcześniej uzgodnić w tym gronie swoje odrębne stanowisko o głosowaniu kwotowego rozdziału przygarnięcia uchodźców oczekujących pomocy. Jest to elementarny wymóg dyplomatycznych relacji. Poddaliśmy więc w wątpliwość sens tego układu, głosując odmiennie na forum UE. Popadliśmy też w określony wymiar ostracyzmu, a na to nas nie stać. Czy sobie z tym poradzimy? Może nasza niezwykłość zostanie wybaczona.

Brukselskie dyskusje o kwotach uchodźców przełożyły się na podgrzanie atmosfery politycznej w kraju. Jedności nie ma, a rozterek przybyło. Polemiki, nawet te o brutalnym wymiarze można byłoby tolerować, gdyby w ich tle nie pozostawał los człowieka. Nie znaczy to, że każdy wędrowiec, to tragiczna i bezradna postać, wymagająca nagle samarytańskiej opieki innych. Takie myślenie byłoby skrajnością. Dlatego też należy łączyć bezpieczeństwo kraju i narodu z oferowaną pomocą, ale wszystko to winno się odbywać w dyskretnym, lecz skutecznym wymiarze. Rejwach zawsze wyzwała niemoc.

Podsumowując efekty rozgorzałej dyskusji można dojść i do takiego oto wniosku, że w indywidualnych formalnych ocenach nie mamy nic przeciwko przyjęciu syryjskich, erytrejskich i innych uchodźców, wszak pod warunkiem, że będziemy mieć gwarancje bezpieczeństwa. Liczymy zdaje się na Unię, ale przecież to i my ją tworzymy. Paradoksalny motyw obskurantyzmem owity.

Skromne efekty w zakresie przytulania uchodźców odnotowuje też katolicka nauka społeczna. Zwierzchnictwo polskiego Kościoła tym razem zajęło pozytywne stanowisko – Komunikat Rady Konferencji Episkopatu Polski z dnia 19.6.2015 r. Był to apel o przyjmowanie uchodźców przez parafie (jest ich ok. 10 tysięcy). I zdawałoby się, że pierwotnie proponowana nam kwota uchodźców (ok. 7 tys.) została już z nadkładem zagospodarowana i to nawet bez udziału państwa. Praktyka jest nieco skomplikowana. Nie chodzi tutaj o to, aby Kościół wyręczał rząd w jego powinnościach, lecz o faktyczną partycypację deklarowanego współudziału. Niechaj to będzie pomoc maksymalnie, w miłosiernych możliwościach, niezależna od państwa. Nie byłoby przecież uczciwym rozwiązaniem rzucenie hasła o pomocy i cedowanie realizacji na innych. Częsta to praktyka, nie tylko Kościoła w imię starego porzekadła: dajcie mi ludzi, a wybrukuję ulicę. Rozwikłaniem tego problemu najczęściej będą się zajmować parafianie przy udziale lokalnej administracji samorządowej, a już mniej struktury kościelnej. Spektakularny to gest, który nawet przy genetycznej dbałości Kościoła o własny majątek, może w jakimś fragmencie okazać się pomocnym w godnym uporaniu się przez Polskę z narzuconą kwotą o subtelny ludzki, a nie księgowy wymiarze. Korelacja poczynań Kościoła i państwa w tym przypadku jest nieodzowna, po to, aby nie zdeprecjonować wspólnej idei szlachetnością owianej. Do pozytywnego myślenia wokół tego problemu winna też skłaniać głębia ewangelicznego przekazu: byłem przybyszem, a przyjęliście mnie (Mt 35).

Jest to kwestia wymagająca systemowych rozwiązań. Zamiary władz i deklarowana pomoc Kościoła w tym zakresie pozostają w enigmatycznej niszy. Społeczeństwo niewiele o tym wie, zaś potencjalni wykonawcy pomysłów swoich zwierzchników już zdążyli sporządzić rejestr wątpliwości, bo przykładowo proboszcz przyjmujący na swoje utrzymanie rodzinę uchodźców, który tak, jak i przybysze z daleka znają wyłącznie rodzime języki, stają już na wstępie w obliczu pełnego niezrozumienia. Łatwo sobie nawet wyobrazić ich wspólną bezradność. Jest to jeden z ważkich problemów, jaki należy pilnie rozwiązać. A to już pozostaje poza możliwościami parafii,

gminy czy województwa. Obyśmy się nie pogubili w nadmiarze hasłowych, spektakularnych propozycji bez ich przełożenia na język konkretów.

Dla Kościoła wymowną ilustracją tej sytuacji jest m.in. ośrodek Caritasu w Sulistrowiczkach, gdzie przygotowano miejsca dla uchodźców. I to jest chwalebne. Z drugiej strony pojawił się problem z akceptacją tej szczodrości przez mieszkańców owej podsobótkowej miejsciny. Caritas – tak; wielu mieszkańców, w tym również katolików – nie. Może obok materialnych gestów ważny jest kaganek oświaty? Tam jak w soczewce objawiły się kwestie wielokulturowości, niedosytu tolerancji, braku zrozumienia dla tragizmu innych etc., a także uwidocznili się rozdzźwięki pomiędzy tym, co głoszą ewangeliczne przekazy, a praktyczną ich przyswajalnością przez wiernych. Niewiele owoców też dała ważna dla Kościoła i kosztowna dla państwa szkolna katecheza. Ale i państwo w swych moralistycznych naukach nie ma powodów do dumy. W Europie wprawdzie nie należymy do wyjątków, ale czyż musimy ulegać takim wzorcom? Doświadczenia dnia dzisiejszego nie sugerują odmiany. Skazujemy się więc na przeciętności, mimo przekonania o nadzwyczajności wobec innych narodów i to właśnie w obszarze demokracji oraz tworzenia przedmurza przed przenikaniem groźnych idei, z którymi sami mamy intelektualny problem. Już nie trzeba wprawdzie sypać szańców przed inwazją komunizmu, bo Europie nic takiego nie grozi, ale też nie można wykluczyć, że przykładowo zainstalowany kapitalizm w rodzimej edycji wymaga krytyki, może nawet w marksowskim wydaniu. Szokująca to zapowiedź. Chwilowo przyćmił ją problem uchodźców, ale i tutaj wkroczył merkantylizm sugerujący unijną dotację na głowę przybysza. Empatia za mamonę. Nie wzdrygamy się nawet przed faktem, że pod kuratelą obcych państw żyje ponad 2,3 mln rodaków. Takie to już sienkiewiczowskie Niderlandy.

Argument przetargowy

Trwający exodus ludów ku Europie, wygenerował osiedleńczy problem, zaś nasi politycy przygotowali nietuzinkowy ukraiński równoważnik, podbudowując go potencjalnymi imigrantami z Białorusi i poradzieckich bezkresów, dokąd kiedyś, wbrew własnej woli, ale często i za chlebem trafiali rodacy. Okrutna to karta przetargowa, wbijająca się w atmosferę niewolniczej komercji. Są to płaskie buchalteryjne rozrachunki prowadzone wedle urzędowo-matematycznych wzorców, wtłoczonych w ludzkie nieszczęście. Jest to brukowe kupczenie uchodźcami. Część wschodnich pobratymców faktycznie stara się opuścić swój kraj ze względu na zagrożenie życia wojennym konfliktem i wybiera Polskę, jako względnie bezpieczną dla nich przystań, przynajmniej w chwilowych odruchach. Niewielki to odsetek, bo przeważają emigracje zarobkowe głównie tych, którzy dorobili się różnie interpretowanej Karty Polaka. Niewiele ma to wspólnego z istotą syryjskiego exodusu. Chwilowo nasze wschodnie graniczne słupy nie wymagają podpór.

Uchodźstwo z terytorium Ukrainy ma posmak aberracji, kiedy to tamtejsza władza o unijno-natowskich aspiracjach pozostaje w komitywie z naszą. Deklaracje rządu Ukrainy nie wskazują na gotowanie piekła naszym pobratymcom. Wschód Ukrainy, to też jurysdykcja Kijowa. Popołniono wiele politycznych błędów podczas pomarańczowej oraz majdanowej rewolucji i to z naszym udziałem. Odezwały się haubice. Nadal to jednak obszar tego samego państwa. Władcom, zabrakło praktycznych drogowskazów. Czy z tego powodu należy pozbywać się własnych obywateli tylko dlatego, że garstkę polityków oszałamia bezradność? Z drugiej strony drożność korzeni polskości mieszkańców tamtego regionu ulega naturalnemu, biologicznemu zasklepianiu. Kordialne sentymenty do kraju nad Wisłą dotyka erozja.

Przykładów wiele.

Rosyjsko-ukraiński konflikt, to w chwili obecnej hasło chyba nadmiernie eksploatowane przez rządzących tamtym krajem, po to, aby usprawiedliwiać swoją indolencję. Stwarzają pozory, że nie wiedzą gdzie szukać wytrycha dla rozwiązania własnych problemów, a on jest skrywany na kremlo wskim podwórku, o czym wie świat cały poza tymi, których deprymuje tak oczywista konstatacja. Dezawuuują fakty o ważności Moskwy w międzynarodowych relacjach, bo kolidują z myślowo ugruntowanym rusofobicznym schematem. Ale i nasze władze wpisują się w krąg zbliżonych wyobrażeń, traktując łaskawie chociażby polsko-ukraińskie ciernie. Osnuła je wprawdzie patyna czasu, ale tkwią zadrą we wzajemnych relacjach (np. Wołyń, likwidacja Powstania Warszawskiego, dramat bieszczadzki) i obfitują w dotąd nieogarnione dylematy, które należy ucywilizować.

Sprawę komplikuje nasz emocjonalny wiecowy udział w kijowskich przesileniach. Sporo tutaj paraleli z irakijską i afgańską chirurgiczną operacją. Obydwaj pacjenci dotąd jeszcze nie ozdrowieli. Natomiast rozbudzone zostały uchodźczo- anarchizujące nastroje, które celnie mierzą w europejski ład. Diagnostyka zdarzeń znana, skutecznej terapii brak.

Ukraińskich imigrantów nie wolno stawiać w kontrze do syryjskich i innych nieszczęśników przytłaczających Europę. Trudno doszukać się w tym punkcie linearnego przyporządkowania obecnego statusu Ukrainy do państw sprowokowanych tzw. arabską wiosną. Definityjne szarady wprawdzie nie powinny w żaden sposób dyskredytować tego, który ratując własne życie przekracza granice RP pod warunkiem, że uszanuje nasze zwyczaje. Świat już się wprawdzie dorobił poprawnych wyznaczników koegzystencji państw, ale południowy exodus wbił się klinem w wyczelowane europejskie pojęcia praw i obyczajów. Utarte schematy wymagają więc nowych konserwatorskich nakreśleń.

Wielu rodzimych partyjnych graczy nadal uwielbia taplanie się w formalnych zawłoścach, by w tym błotnistym zaślepiającym mazidle, wypatrywać elektorskiego poparcia. Przeczy to optyce, ale błędne ogniki może przyćmić wyłącznie zbiorowa elektorska, realnością wypełniona ekstaza. Nadzieja to płonna, bo polityczny kicz kreślony chimeryczno-krótkowzrocznymi obrazami ma się znakomicie (vide wyniki ostatnich wyborów i rosnące głosy zawodu elektoratu).

Czy zatem ukraiński argument tak dosadnie obecny w rządowych przemyśleniach musi przysłańać problemy z przyjęciem pod wspólny dach Syryjczyków, i czy może w wystarczający sposób usprawiedliwiać nasze wschodnie rozterki? Mglista to wizja, bo kojarząca się raczej z asekuranctwem niż z rzeczową ofensywą. Nadal chyba odczuwamy niedosyt w zgłębieniu losów rodaków na wschodnich rubieżach II RP wówczas i tuż po zakończeniu wojny światowej. Dysponujemy wprawdzie archiwalnym metrażem dokumentów, ale w przeciwieństwie do ukraińskiego sąsiada niechętnie są eksplorowane. Tam narodowe wyznaczniki biorą górę nad naszą dobroduszością, a może naiwnością wobec wspólnego problemu (np. nobilitacja UPA w dniu wizyty prezydenta RP – 14.4.2015 r.).

W sentymentalnym traktowaniu tamtych ziem pozbawiamy się krytycyzmu, ale mobilizujemy go wobec Rosji. Gwałtownie zaś protestujemy, kiedy to odzywa się niemieckie ziomkostwo.

Obyśmy nie popadli w polityczny klincz. Międzynarodowe układy się zmieniają, zaś przestrzeń geograficzna Ojczyzny, to nadal – w generalnej podziałce – odwieczny trakt:

Berlin-Warszawa-Moskwa, albo kierunek przeciwny. Ważna to dla nas autostrada, wymagająca rozpoznania nie tylko technicznych umiejętności poruszania się na niej, lecz przede wszystkim opanowania sztuki dyplomatycznej nawigacji. W patriotycznych uniesieniach zwykle górę biorą emocje wieszczące klęskę, a rozum zasypia. Historia obfituje przykładami.

Międzynarodowy wymiar exodusu

Zaoceaniczny globalista stwarza pozory zamartwiania się arabską tragedią, wstydliwie skrywając prawa autorskie do swego pierwotnego rozkazu. Dobrze i to, mimo że hipokryzję skrywa okazywaniem współczucia tamtym nieszczęśnikom i Europie, z której uczynił przytułek dla uciekających. I tym razem zadbał o własny interes, fundując Staremu Kontynentowi większościowe akcje w opiece nad losem uchodźców z demokratyzowanych przez niego krajów. Mieli żyć w Edenie, a dostąpili ciernistej mordęgi.

Okazuje się, że każda wojenna ekspedycja generuje katastrofę, ale refleksy niewolniczych zapędów nadal zżerają szlachetne odruchy człowieczeństwa. Zakusy wielkich daleko wybiegają poza własne granice. Rozległość obszarów ich ekspansji trudno zidentyfikować. Zawsze funkcjonują w egoistycznych spiralach, zniewalających wasali. Z pozycji Warszawy możemy, co najwyżej poprawić skuteczność operowania własnym dyplomatycznym orężem, parując ostrza w nas wymierzone. Szachownica wymaga wielu figur, w tym nieodzownych pionków, które na planszy powściągliwych ruchów mogą ciążyć na strategii innych. Pozostaje więc baczne obserwowanie politycznych posunięć hegemonów i stronienie od jednoznacznych deklaracji. Z tym mamy kłopot. Najczęściej popadamy w objęcia wyrachowanych internacjonalistycznych haseł aplikowanych przez globalistów. Te sugestie winniśmy ważyć na jubilerskiej wadze wolnej od czołbitnych pokłonów wobec jednego, a drugiego wyrafinowanie ignorować, mimo że to nasz nietuzinkowy sąsiad z wachlarzem handlowych i politycznych ofert, daleko wykraczających poza pomnikowo-funeralne scysje.

Unijno-Natowskie zagubienie

Nie sposób było w pełni przewidzieć tego, co dzisiaj Europie narzucili uchodźcy z południa. Symptomy tego wcześniej były znane. Zabrakło woli, aby upublicznić perspektywę wariantów ewentualnych zagrożeń dla kraju i Europy oraz w porę podjąć cywilizowane kroki. Informacje wyprzedzające zapewne zaległy w wywiadowczych szufladach, bo na przemian ziębiły i parzyły, a tak szczerze, były po prostu niewygodne, zwłaszcza dla scenarzysty afro-arabskich przeobrażeń.

Oferta sprzedaży zachodniej demokracji tamtemu regionowi okazała się zgubna. Same odsetki, które dzisiaj należy spłacać przyjęły kształt odwróconej piramidy. Nie starczy rozpętać burzę i uciec z cyklonu okupionego ludzkimi stratami, ale sztuką było zdefiniować sens ataku oraz nakreślić wizję skutecznych pokojowych rozwiązań. Konstrukcja UE i NATO znalazła się w epicentrum drgań. One też nas dotyczą. Dzisiaj łatwo o tym rozprawiać, dysponując bogatym materiałem empirycznym. Ale i przed inwazją funkcjonowały ośrodki wywiadowcze, analityczne, doradcze itp., a nade wszystko nie zostali ubezwłasnowolnieni polityczni decydenci. To oni oceniali zarówno powody decyzji o militarnych rozprawach, ale i o ich konsekwencjach, które w

perspektywie – jak historia poucza – mają zazwyczaj wymiar nieskończony. Bazowali na fałszywych przesłankach. Skutki tej ignorancji będą odczuwane przez lata.

Pozostał problem kordialnego przytulenia uchodźców, także przez Polskę. Szkoda tylko, że w krajowych asekuranckich dywagacjach o losie bliźnich, nieczęsto nawiązujemy do naszej partycypacji w konstrukcji dzisiejszego tragizmu tamtych narodów. Może omamiły nas kolonialne zapędy II RP wryte w statut Ligi Morskiej i Kolonialnej, ale i nadal czkającemu się nam Zaolziu. Pryśły też oczekiwania na materialne profity z wojennej eskapady. Dzisiaj balsamicznym suplementem naszej mocarstwowości jest artykułowana przychylność dla chorwackiej koncepcji łączącej Bałtyk z Morzem Śródziemnym. Taki to eliksir dla sentymentalnej maksymy: Polska od morza do morza i co drugi dzień święto.

Z założonego sukcesu wyłonił się problem szczelności unijnych i natowskich granic. Nie paszport, ale hasło uchodźca w masowym natłoku, demoluje zakłętę rewiry, strzeżone ponoć w wymyślny sposób przez Unię i NATO. Okazuje się, że nie trzeba nadmiernego wysiłku, aby je sforsować. Ekspresja tłumy pozostaje niezmiernie i nie oprze się jakiegokolwiek tarczy.

Propagandowo eksponowane rzekomo finezyjne reduity nie wytrzymały naporu bezbronnych, bezsilnych, ale zdesperowanych. Rodzi się więc refleksja o sensie wyrafinowanych europejskich zbrojeń.

Dotąd nie potrafią sformułować uczzonej, ale i praktycznej metodologii powstrzymywania exodusu. W rozterce pozostają pytania zarówno o model funkcjonowania służb granicznych, jak i sens kosztownego dozbrajania armii, jeśli bezbronny lud je obezwładnia? Uchodźcy, to wprawdzie nie agresorzy, lecz bliźni szukający pomocy. Natomiast pogardzani mogą zawirować porządkiem w państwach zamierzonego osiedlenia, jak i tranzytowych. Przykładów wiele.

Co na to NATO? Czy ta wojenna biurokratyczna struktura, z plenipotencją USA, będzie nadal orężem inspirowała niepokoje, a później stawiała w bezbronnej pozycji wobec zgotowanego nieszczęścia? Każda detonacja, nawet godnych idei niesie skutki uboczne. Zatem gest pokory inicjatora nieszczęścia może zostać odczytany jako ukłon wobec sponiewieranych. Na to się jednak nie zanosi. Myślenie nadal jest oblepione ciężarem ołowiu i enigmatycznymi kapitałowymi zyskami z wojennych zawieruch.

Ambicje mocarzy pozostają w odległości od detalicznych dywagacji maluczkich. W tym przypadku rzucono im dla posmaku ofertę zgłębiania sensu kwotowej dystrybucji uchodźców. Rzecz wtórna i zarazem przykra, ale rozwiązanie tego rebusu, to sztuka nie lada. Zamysły wielkich i prowizje ich mniejszych udziałowców, jak zwykle, stały na rozdrożu. Skąd my, Polacy to znamy? Najczęściej gubiliśmy się w wirze układności i nadal w nim pozostajemy. Roztropne patrzenie w przyszłość, to opcja nie dla wszystkich dostępna.

* * *

Zamiar dokonania transplantacji zachodniej demokracji na grunt afro-bliskowschodnich państw okazał się fiaskiem o kosztownych skutkach. Zdemolowano gospodarki i tradycją uświęcone obyczaje. Unicestwiono też przywódców, wprawdzie satrapów, lecz dyscyplinujących tamte społeczności. Górę wzięły rodzime klany wzniecając pożogę, która rykoszetem trafia w autorów owych mesjanistycznych pomysłów. Tego orędownicy demokracji nie przewidzieli. Pominęto też konsekwencje geometrycznego, a nie naturalnego, narodowościowego wyznaczenia granic przez dawnych kolonizatorów. Teraz plemiennie-religijne wyobrażenia biorą górę, poddając w wątpliwość tamte granice. Ale temat to odrębny.

W łańcuchu przyczyn i skutków znaleźliśmy się i my. Byliśmy pewni siebie z gwarancjami

żyrowanymi przez zaoceanicznego mocarza. W naszej krótkowzroczności, ważne było ratowanie z opresji amerykańskich żołnierzy (rzecz to chwalebna), ale została zdewaluowana nachalnymi opowieściami naszych tajemnych agentów o niezwykłości przedsięwzięcia. A było to wpisane w zakresy ich służbowych obowiązków z etatowym uposażeniem. Pogubili się w etycznym wymiarze skromności. Uraczono też nas dramatyczno-humorystycznymi obrazkami, jak chociażby tym niemal wyjętym z komedianckiego filmu, kiedy to po ulicach Bagdadu w postrzępionych porciętach biegał generał-ambasador naszego państwa. Można współczuć, ubolewać, ale na pewno o tak wyrafinowany dyplomatyczny sukces nam nie chodziło. Zamiast moralno-ekonomicznej intraty sprokurowaliśmy dla RP podwyższony wskaźnik zagrożenie bezpieczeństwa.

Przyszła więc czas odrobienia niełatwej lekcji pt. najeźdźca-stabilizator. Musimy też oczyścić naszą wyobraźnię z mirażu o unikatowym miejscu Polski w amerykańskich licytacjach, łącznie z roztoczoną nam wówczas wizją dostępu do gazo- i ropodajnych pól. Tamta euforia raptem wyartykułowała decyzję o budowie w Świnoujściu kosztownego Gazoportu, kiedy to na wyciągnięcie ręki mamy m.in. Nord Stream z perspektywą jego rozbudowy. Może on wprowadzić równie dobrze cementować, jak i rozsadzać europejskie więzi, ale wiele państw UE na tym zarabia, a my pogrążamy się w rusofobicznej zadyszce. Gazociąg traktujemy jak kumulację politycznych rozterek, a rachunek ekonomiczny odrzucamy. Autarkiczne zapędy w globalistycznych trendach trącą anachronizmem. Honor jest ważny, ale złotówki również. Optymalnym orężem winny pozostawać dyplomatyczne konkury, wolne od egzotycznej panoramy i wojennego amoku w tle. Tam winniśmy lokować patriotyczny kapitał, a nie w ringowych ekscesach.

Dzisiaj dostrzegaliśmy, ale smutnym dorobkiem globalnej polityki pozostają uchodźcy, domagający się w desperackim exodusie pomocy od tych, którzy z wyrafinowanym orężem niedawno u nich gościli. Byliśmy wśród nich. Zasada naczyń połączonych, to klasyka fizyki, na co już dawno zwrócił uwagę Heraklit z Efezu (540-480 p.n.e.) w prekursorskiej teorii o wariabilizmie, ujętej w prostej definicji: wszystko płynie (panta rhei).

Janina Łagoda